



Zane Grey

DUCH POGRANICZA

Druga część cyklu „Legendy Doliny Ohio”



14

ISBN 978-83-65753-19-9 (całość)

ISBN 978-83-65753-32-8 (część druga)

Zane Grey

DUCH POGRANICZA



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jeźdźców purpurowego stepu*. Powieść okazała się bestsellerem i po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni człowiek z prerii*, a kariera Greya nabrała niepokonowanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.

Zane Grey



DUCH POGRANICZA

Powieść o wczesnych osadnikach w dolinie Ohio

Druga część cyklu „Legendy Doliny Ohio”

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

[Kup książkę](#)

Pięćdziesiąta pierwsza publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Czternasty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuły oryginału angielskiego: *The Spirit Of The Border*
A Romance of the Early Settlers in the Ohio Valley

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2018

34 ilustracje, w tym 10 kolorowych i 1 mapka: Damian Christ
© Copyright for the cover and inside illustrations by Damian Christ, 2018

Redakcja i korekta: Magdalena Stec
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2018

ISBN 978-83-65753-19-9 (całość)
ISBN 978-83-65753-32-8 (część druga)

Dedykacja

Mojemu bratu

z wieloma serdecznymi wspomnieniami dni spędzanych w samotni lasów, gdzie jedynie można zaspokoić dziką żądzę swobody, o której piszą na kartach książek; gdzie radość odnajduje się w odgłosie trzepotu skrzydeł szybko lecącej dzikiej kaczki; gdzie serce przepełnia spokój jesiennego popołudnia; gdzie w zapadającym zmierzchu widać dym wzbijający się kręgami z drzew w ognisku i gwiazdy wyglądające ponad ciemnymi wzgórzami o porośniętych drzewami zboczach oraz gdzie można zaznać szczęścia kryjącego się wyłącznie w dziczy.

[Kup książkę](#)

Wstęp

Autor nie zamierza przeproszać za to, co wielu Czytelników nazwie być może „brutalnością” tej opowieści, ale pragnie w zamian wyjaśnić, że obecny w niej duch dzikości przepełniał rzeczywiście zachodnie pogranicze sprzed zaledwie stu laty.

Autor jest szczęśliwym posiadaczem materiału historycznego, bez wątpienia prawdziwego i interesującego. Materiał ten to zaginiony dziennik pułkownika Ebenezera Zane’a¹, jednego z najważniejszych myśliwych i pionierów, dzięki trudom których odbywało się zasiedlanie Zachodu².

Opowieść o tym tragicznym okresie zasługuje na chwalebniejsze miejsce w literaturze historycznej niż to zajmowane dotychczas. Przyczyną tego niedoceny jest niewątpliwie brak autentycznych danych na temat podboju Zachodu. Jeżeli zważymy, ile lat trwały zmagania pionierów zasiedlających odległe rubieże, to dzieje ich wysiłków okażą się ubogie i mało wyraziste.

Skoro lata przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku były tak pełne niesamowitych przygód kolonistów na wybrzeżu Atlantyku, to iluż niezwyklej rzeczy musieli doświadczać niemal zapomniani pionierzy, którzy odważnie zajmowali nieprzebyte pustkowia! Żaden z nich nie spisał zmagających wytrwałych ludzi zmierzających w stronę zachodzącego słońca. Opowieść o ich burzliwym życiu, bohaterstwie, ofiarach ponoszonych dla dobra przyszłych pokoleń nie jest zbyt dobrze znana.

To dla lepszego zrozumienia owych dni trudził się autor, aby z odnalezionych notatek przodka sporządził nowy i przyciągający uwagę obraz pogranicza wyrażający gorące umiłowanie wolności – ten przemożny odruch, który tak wielu przywiódł do nieoznaczonego grobu; obraz ukazujący pracę i miłość człowieka Zachodu, wszystko, co czyni jego życie tak ciężkim; obraz niepomijający również wrogich Indian.

Pogranicze roku 1777³ rodziło białych ludzi tak dzikich, że ludźmi byli wyłącznie z nazwy. Owi banici i zdrajcy żyli pośród Indian i przez trzy dekady prześladowali rubieże, dopuszczając się wobec osadników wszelkiego rodzaju najstraszliwszych okrucieństw. W popełnianiu ich nie ustępowali w niczym czerwono-skórnym, a szczytem ich krwawych wyczynów było zniweczenie długotrwałych wysiłków morawskich misjonarzy⁴ i zniszczenie

¹ Informacje dotyczące poszczególnych członków rodziny Zane’ów umieszczone są na końcu książki.

² *Zachód* – anglosaskie zasiedlanie Ameryki Północnej zaczęło się od wschodniego wybrzeża i postępowało stopniowo na zachód; dało to początek mitowi Zachodu (ang. *West*), pogranicza, obecnemu nadal w kulturze amerykańskiej tematowi wielu legend, powieści, pieśni i filmów; we wspomnianym tu okresie (koniec XVIII w.) mianem Zachodu określano tereny obecnych stanów Pensylwania (część zachodnia), Ohio, Wirginia Zachodnia, Kentucky i Tennessee.

³ *Rok 1777* – zwany rokiem „krwawych siódemek”, z góry uważany za niepomysłny, gdyż zawierał trzy siódemki, w których dopatrywano się zubienic; w Ameryce władze brytyjskie znacznie nasiliły wysyłanie grup Indian przeciwko buntującym się mieszkańcom pogranicza, zwłaszcza w Kentucky i Wirginii dochodziło do wielu napaści i zabójstw osadników.

⁴ *Morawscy misjonarze* – bracia morawscy, protestancka wspólnota religijna założona w XVII w. na Łużycach przez uchodźców z Czech, prześladowanych tam husytów i ewangelików, od 1749 r. samodzielny kościół o wyznaniu ewangelicko-augsburskim; szybko zaczęli działalność misyjną na całym świecie, zwłaszcza w Ameryce Północnej wśród Indian, gdzie działali od 1740, słynęli z bezinteresowności i poszanowania miejscowych kultur; zakładali osady wśród Mohikanów, nawracali w Pensylwanii (wieś Bethlehem na ziemiach plemienia Lenape), Karolinie Północnej, Georgii, Ohio; obecnie braci morawskich jest ok. 750 tys., głównie w USA.

pięknej wioski nawróconych na chrześcijaństwo Indian, zwanej Gnaddenhutten⁵, czyli Przysiółek Pokoju⁶, Wioska Pokoju.

Pogranicze obok zbrodniarzy dawało jednak też takich myśliwych, jak Boone⁷, Zane'owie, McCollochowie⁸ i Wetzel⁹. Ten ostatni, dziwny i małomówny człowiek, o którego czynach wciąż krążą opowieści, ongiś przemierzał Zachód w nienasyconej pogoni za dzikimi i renegatami. Czysty wytwór swoich czasów; cywilizacja nie mogła zrodzić ludzi takich jak Wetzel. Kiedy nadchodzą wielkie rewolucje, wielkie kryzysy i wielkie czasy, pojawiają się ludzie zdolni do działania i najwyższych poświęceń.

Pogranicze potrzebowało Wetzela. Gdyby nie on, zakładanie przez osadników stałych siedzib trwałoby dużo dłużej. Nigdy nie był pionierem, ale wyłącznie łowcą Indian. Kiedy nie tropił wroga, pozostawał w osadzie, bystrym okiem wypatrując i czujnym uchem nasłuchując oznak przeciwnika. Dla przesądnych Indian jawił się jako cień, duch pogranicza, który oddychał zagrożeniami mrocznej puszczy. Dla osadników zaś był ostoją, fundamentem obrony, odpowiednim przywódcą tych nielicznych nieugiętych mieszkańców, którzy rozpoczęli zasiedlanie Zachodu.

Jeżeli niniejsza opowieść o jednym z nieustannych pościgów Wetzela ukaże go takim, jaki był naprawdę – budzącym miłość pionierów, szacunek i strach czerwonoskórych, nienawiść renegatów – jeżeli choć odrobinę złagodzi przedstawiany przez historię obraz bezlistnego człowieka, autor spotka się wówczas z hojną odpłatą.

Z.G.



⁵ *Gnaddenhutten* – obecnie Gnadenhutten, wieś we wschodniej części stanu Ohio w USA, nad rzeką Tuscarawas, założona w 1772 r. przez misjonarzy morawskich pod wodzą Davida Zeisbergera i zamieszkiwana przez nawróconych na chrześcijaństwo Indian z plemienia Lenape; jako pacyfiści bracia morawscy zachowywali neutralność podczas rewolucji amerykańskiej, ale osada budziła niechęć obu stron, amerykańskiej i brytyjskiej; 8 marca 1782 milicja Pensylwanii pod dowództwem podpułkownika Davida Williamsona wymordowała 96 bezbronnych Indian, w tym kobiety i dzieci; w 1798 wieś zasiedlona ponownie przez misjonarzy morawskich, rozwój w XIX w.; obecnie ma około 1300 mieszkańców, ośrodek turystyczny z wieloma pomnikami upamiętniającymi masakrę.

⁶ *Przysiółek Pokoju* – nazwa Gnadenhutten pochodzi od niem. *Gnadenhütten*, dosłownie „Chaty (Hütten) Łaski (Gnade)”; nazwę Friedenshütten, czyli „Chaty (Przysiółek) Pokoju”, miała osada założona przez braci morawskich w 1746 r. w Pensylwanii nad Susquehanną, porzucona, gdy Indianie zostali wyparci na zachód, a nazwę Friedensstadt („Miasto Pokoju”) – osada w Pensylwanii nad Beaver Creek, istniejąca w latach 1772-1773.

⁷ Daniel Boone (1734-1820) – legendarny amerykański pionier i traper, walczył z Indianami, badał pogranicze, działał przy zasiedlaniu Kentucky, uczestnik wojny o niepodległość, potem ścigany przez sądy; bohater wielu dzieł literackich i filmów.

⁸ *McCollochowie* – czterej bracia (George, John, Samuel i Abraham) i dwie siostry (Elizabeth, żona Ebenezera Zane'a, i Catherine); wyróżniał się zwłaszcza Samuel (1746 lub 1752-1782), zwiadowca, pionier, uczestnik walk z Indianami, major milicji od 1775.

⁹ Lewis Wetzel (1763-1808) – amerykański osadnik, myśliwy, od 1770 r. z rodziną mieszkał w Wirginii, w 1777 z bratem porwany przez Indian, uciekł w 1782; brał udział w obronie Fort Henry; mszcząc się na Indianach za zamordowanie ojca, zabijał ich samotnie; oskarżony o te morderstwa uciekł w 1788 do Nowego Orleanu, potem mieszkał w Missisipi; doskonały strzelec.

Rozdział I

– Nell, coraz bardziej cię lubię.

– Musi tak być, mój panie Joe, a jak będziesz to często powtarzał, to stanie się to prawdą.

Dziewczyna mówiła prosto, bez zwykłej u niej żartobliwości. Wesołe słówka, łobuzerskie uśmieszki i cień kokieterii zdawały się być nieodłącznym orężem Nell, ale teraz jej poważny ton i niemal tęskne spojrzenia zbijały Joego z tropu.

Podczas długiej podróży przez góry dziewczyna była wesoła i pogodna, teraz zaś, kiedy mieli się rozstać, być może na zawsze, odkrywała przed nim głębsze i poważniejsze oblicze swego charakteru. Jak nic innego tłumilo to jego śmiałość. Nagle uświadomił sobie prawdziwe znaczenie miłości kobiety, gdy ta obdarza nią bez ograniczeń. Świadom, że ani trochę jej nie rozumie oraz że dla niego była to jedynie gra, wpatrywał się w widniejący przed nimi dziki krajobraz.

Owa scena swoim spokojem oddziaływała na parę młodych ludzi, umacniając w nich przekonanie, że stoją oto u bram nieznanego Zachodu; że gdzieś za tą prymitywną osadą na pograniczu, tam hen w nietkniętych lasach ciągnących się przed nimi, ciemnych i milczących, będzie ich przyszły dom.

Od wysokiego brzegu, na którym tkwili, teren stopniowo opadał i zwężał się aż do ostrego przylądka, ostatniego skrawka ziemi pomiędzy rzekami Allegheny¹⁰ i Monongahela¹¹. Ich bystre nurty łączyły się tam i tworzyły Ohio¹². Nowo narodzona rzeka, nawet tutaj, w samych swoich początkach, dumna i wezbrana, jakby pewna już swej dalszej wielkości, zakreślała majestatycznie szeroki zakręt i ginęła pod listowiem puszczy.

Na wąskim cyplu stała długa, niska budowla otoczona palisadą, w której czterech narożnikach¹³ widniały małe domy w kształcie kostki, wystające tak, jakby usiłowały dostrzec, co dzieje się poniżej. Potężne belki, z których wzniesiono warownię, jej zwarta bryła oraz małe ciemne otwory wycięte w ścianach sprawiały, że wyglądała na groźną i niedostępną.

Poniżej, na brzegu, stało wiele chat z bali. Żółta glina wypełniająca szpary między belkami nadawała im osobliwy pasiasty wygląd. W pobliżu tych domostw panowały ożywienie i krzątanie, odcinające się ostro od cichego majestatu okolicznych lasów. Widać tam było także kryte płótnem wozy¹⁴, wokół których bawiły się kędzierzawe podrostki. Kilka koni skubało niską trawę, a sześć czerwonych i białych wołów przeżuwało rzucone im siano. Dymy z licznych ognisk wzbijały się w górę, przy płomieniach siedziały kobiety o ogorza-

¹⁰ *Allegheny* – rzeka w zachodniej części stanu Pensylwania w Stanach Zjednoczonych, długości 523 km, źródła ma na południe od jeziora Erie, w mieście Pittsburgh w Pensylwanii łączy się z rzeką Monongahela, dając początek Ohio.

¹¹ *Monongahela* – rzeka we wschodniej części stanu Wirginia Zachodnia w Stanach Zjednoczonych, długości 206 km, źródła ma w górach Allegheny.

¹² *Ohio* – rzeka we wschodniej części Stanów Zjednoczonych, największy lewy dopływ Missisipi, długości 1579 km, bardzo ważny szlak komunikacyjny, stanowi granicę stanów Wirginia Zachodnia i Ohio oraz Kentucky i Indiana.

¹³ W widłach Allegheny i Monongaheli stał Fort Pitt, zbudowany przez Brytyjczyków w latach 1759-1761 na miejscu wcześniejszego francuskiego Fort Duquesne, oblegany przez Indian w 1763, od 1772 nosił nazwę Fort Dunmore, sprzedany w 1797 i rozebrany; warownia ta miała jednak kształt pięcioboku, z bastionami w pięciu, a nie czterech narożnikach; obecnie na tym miejscu znajduje się Point State Park w centrum Pittsburgha w Pensylwanii.

¹⁴ *Kryte wozy* – drewniane furmanki, pokryte rozpinanym na pałkach płóciennym dachem, powszechnie używane w Ameryce Północnej w XVIII i XIX w., zaprzęgane w konie, woły lub muły, służyły do przewozu towarów i ludzi; jeden z symboli osadnictwa amerykańskiego.

łych twarzach, mieszające zawartość parujących kotłów. Jakiś mężczyzna machał mocno siekierą, a wyraziste odgłosy uderzeń rozbrzmiewały w powietrzu; inny wbijał w ziemię paliki, na których zawisnę kociołek. Przed dużą chatą handlarz futer pokazywał swe towary trzem Indianom. Czerwonoskóry z wyciągniętego na brzeg canoe¹⁵ przynosił pęk skórek. Obok stała grupka ludzi, jedni patrzyli na Indian obojętnie, inni z zainteresowaniem. Dwoje dzieci wyglądało zza spódnic matek, okazując w połowie ciekawość, w połowie lęk.

Od tej sceny, której znaczenie dopiero doń docierało, Joe przesunął ponownie wzrok na swoją towarzyszkę. Ujrzał piękną twarz; była poważna, ale kryła się w niej zapowiedź niezliczonych uśmiechów. W niebieskich oczach Nell pojawił się błysk wesołości. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na młodzieńca. Jej wzrok zmiękł i złagodniał, gdy padł na Joego, gdyż przyjemnie było patrzeć na jego szerokie bary oraz zgrabne i mocne ciało tropiciela jeleni.



¹⁵ Canoe – tradycyjna lekka łódka wiosłowa Indian Ameryki Północnej, o szkieletcie z gałązek pokrytych korą brzoźową, z załogą od jednej do kilkunastu osób.

– Posłuchaj – rzekła – znamy się dopiero trzy tygodnie. Odkąd dołączyłeś do naszej karawany wozów, dzięki twojej pomocy i uprzejmości, które pozwoliły mi przetrwać tę długą, ciężką jazdę, zyskałeś sobie moje uznanie. Ja... ja nie mogę wyznaczyć ci więcej, choćbym i chciała. Powiedziałeś mi, że uciekłeś z wirginijskiego domu, żeby na pograniczu szukać przygód, że nie znasz nikogo w całym tym dzikim kraju. Powiedziałeś, że mógłbyś nawet, czemu nie, pracować na roli. Być może moja siostra i ja nie nadajemy się do tego życia równie dobrze jak ty, ale musimy trzymać się naszego stryja, bo nie mamy żadnego innego krewnego. Przyjechał tutaj, żeby dołączyć do braci morawskich, głosić Indianom Ewangelię. Będziemy dzieliły jego życie, pomagały mu we wszystkim. Mówiłeś mi, że... że zależy ci na mnie, a teraz, gdy mamy się rozstać, to... to nie wiem, co ci powiedzieć... chyba tylko jedno: porzuć swe zamiary szukania przygód i pojedź z nami. Wydaje mi się, że znajdziesz tu wiele okazji, by poczuć dreszcz emocji.

– Żałuję, że nie jestem Jimem – rzucił niespodziewanie.

– Kim jest Jim?

– Moim bratem.

– Opowiedz mi o nim.

– Nie ma wiele do opowiadania. On i ja porzuciliśmy naszych bliskich, jak ty i Kate swoich. Jim jest kaznodzieją i najlepszym człowiekiem... och! Ogromnie go kocham.

– No to dlaczego go zostawiłeś?

– Miałem dość Williamsburga¹⁶, wdałem się tam w bójkę i kogoś zraniłem. Ponadto chciałem zobaczyć Zachód. Nie wątpię, że polubię polowania na jelenie i niedźwiedzie oraz walki z Indianami. Ale raczej nic dobrego ze mnie nie będzie.

– Czy tylko Jima kochałeś? – zapytała Nell z uśmiechem. Zaskoczyła ją jego nagle powaga.

– Tak, tylko, oprócz mojego konia i psa, których musiałem zostawić – odparł Joe, lekko spuszczając głowę.

– Czy chciałbyś być Jimem, bo jest kaznodzieją, i mógłbyś wtedy pomagać stryjowi w nawracaniu Indian?

– Tak, po części, ale głównie dlatego, że... tak jakoś... to, co mówisz i robisz, każe mi lubić cię w zupełnie inny sposób. Chciałbym też stać się ciebie wartym.

– Nie wierzę w to, co powiedziałeś, że „nic dobrego z ciebie nie będzie” – odparła.

– Nell! – zawołał i nagle złapał ją za rękę.

Wyrwała się i odskoczyła od niego. Twarz miała teraz rozpromienioną, rozjaśniał ją piękny uśmiech.

– Niech się waszmość zachowuje! – Szarpnęła głowę w tył znajomym mu ruchem, odrzucając sprzed twarzy jasne włosy, i spojrzała na Joego spod rzęs. – Czy pojedziesz z Kate i ze mną?

Zanim zdołał odpowiedzieć, ich uwagę przyciągnął okrzyk kogoś znajdującego się na równinie poniżej. Odwrócili się i zobaczyli wjeżdżającą do osady karawanę wozów. Dzieci wrzeszczały i biegały wokół zmęczonych wołów; mężczyźni i kobiety podchodzili bliżej.

– Musi to być karawana oczekiwana przez stryja. Chodźmy tam – zaproponowała Nell.

Joe, nic nie mówiąc, podążył za nią ścieżką. Gdy doszli do kępy wierzb w pobliżu chat, pochylił się i ujął rękę dziewczyny. Ta dostrzegła w jego oczach blask brawury.

¹⁶ Williamsburg – miasto w USA, we wschodniej części stanu Wirginia, powstałe w 1622 r. jako osada Middle Plantation, w 1699 po pożarze Jamestown ustanowione stolicą Wirginii; zmiana nazwy na Williamsburg na cześć króla Anglii Wilhelma III.

- Nie. Zobaczą – szepnęła.
- Jeśli nie chcesz tylko z tego powodu, to zupełnie się tym nie przejmuję – powiedział.
- Co masz na myśli? Nie mówię... nie powiem... och! Puść mnie! – błagała Nell.

Próbowała uwolnić rękę, którą Joe trzymał w szerokiej dłoni, ale na próżno; im bardziej się szarpała, tym mocniej ją ścisnął. Zmarszczka przecięła jej czoło, a oczy zabłyśły mocą ducha. Zobaczyła, że żona handlarza futer wygląda przez okno, a pamiętała, jak ze śmiechem mówiła owej dobrej kobiecie, że nie lubi tego młodego człowieka. Być może to z obawy przed jej bystrym wzrokiem poczuła się urażona jego śmiałością. Otworzyła usta, żeby go zbesztać, ale nie padły żadne słowa. Joe pochylił głowę i miękko zamknął jej usta pocałunkiem.

Przez chwilę Nell stała skamieniała, jakby zaskoczona, patrząc na Joe'go zupełnie odrętwiała. Zwykle miała na podorędziu ostre lub zuchwałe słowa, była szybka w działaniu; teraz jednak zmieszał ją ten pocałunek, zwłaszcza na oczach żony handlarza. Potem do jej uszu ponownie zaczęły docierać dźwięki, a kiedy Joe odwrócił się z uśmiechem na twarzy, jej serce, zalane niezwykłym ciepłem, zabiło mocniej z gniewu.

Widziała wyraźnie wysoką postać młodzieńca, gdy nie oglądając się za siebie, szedł leniwie w kierunku karawany wozów. Obrzuciwszy go ostatnim spojrzeniem, które wieszczyło kłopoty, pobiegła do chaty.

Wchodząc do środka, zobaczyła, jak siedzący na ławce na zewnątrz szpakowaty mężczyzna, mieszkaniiec pogranicza, uśmiechnął się do niej porozumiewawczo i mrugnął, jakby chciał powiedzieć, że zachowa dla siebie jej tajemnicę. Pani Wentz, żona handlarza futer, siedziała przy otwartym oknie wychodzącym na fort. Była dużą kobietą o twardych rysach, w których odbijał się chłodny spokój charakterystyczny dla ludzi od dawna mieszkających w słabo zaludnionych okolicach. Nell zerknęła na nią ukradkiem i pomyślała, że w szarych oczach dostrzega cień uśmiechu.

– Widziałam ciebie i twojego kochasia, jak się migdaliliście za wierzbą – powiedziała rzeczowym głosem pani Wentz. – Ani myślę, byś musiała się z tym kryć. Ludziska tutaj chętnie patrzą, jak iskrzy między młodymi. Z twego chłoptasia jest śliczny człek. Jestem pewna, że macie się ku sobie, skoro na tyle mu pozwalasz, chociaż znasz go dopiero kilka dni. Lize Davis mówiła mi, że widziała, jaki jest dla ciebie miły. Podobą mi się jego twarz. Jake¹⁷, mój ślubny, powiada, że będzie dla ciebie dobrym mężem i że ciągnie go do pogranicza jak kaczkę do wody. Szkoda, że nie zabawisz tu trochę dłużej. Nie widzimy wielu dziewczetek, zwłaszcza tak ładniutkich jak ty, a przekonasz się, że im dalej na zachód pojedziesz, tym bardziej będzie tam cicho i samotnie. Jake wie wszystko o Fort Henry¹⁸, a myśliwy Jeff Lynn¹⁹ zna Eba i Jacka Zane'ów, i Wetzela, i wszystkich z fortu. Pożenicie się tam, co?

¹⁷ Jake – Jacob Wentz, wymieniany jest wśród pierwszych braci morawskich w Ameryce Północnej; może chodzić o ojca (ok. 1715-1782), pochodzącego z Pensylwanii, który miał żonę Elizabeth, lub jego syna, też Jacoba (1740-1783), mającego żonę Barbarę, kapitana milicji w Pensylwanii, uczestnika wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

¹⁸ Fort Henry – wzniesiony w 1774 r. około ćwierć mili od brzegu Ohio, na wzgórzu na dzisiejszym przedmieściu Wheeling, dla ochrony pierwszych osadników przed atakami Indian; pierwotna nazwa to Fort Fincastle, wkrótce zmieniona na Fort Henry, od gubernatora Wirginii Patricka Henry'ego; budowę zaczęli mieszkańcy osady Ebenezzer Zane i John Caldwell, dokończył kapitan William Crawford; kwadratowy, o drewnianej palisadzie wysokości 6 m, z wieżyczkami w narożnikach; w 1777 odparł oblężenie Indian, także następne w 1782, porzucony w 1784, nie został po nim żaden ślad.

¹⁹ Jeff Lynn – rodzina Lynnów była wśród pierwszych osadników w Fort Henry, znany jest John Lynn, nastoletni zwiadowca w czasie oblężenia w 1782 r., być może syn lub wnuk Jeffa.

– Pani... myli się całkowicie – odparła Nell, która z każdym słowem pani Wentz coraz bardziej purpurowiała. – Jesteśmy tylko...

Tu się zawałała i wreszcie zamilkła. Zdawała sobie sprawę, że zaprzeczanie czy tłumaczenie nic nie da; prosta kobieta widziała pocałunek i wyciągnęła z tego wnioski. Przez kilka dni spędzonych w Fort Pitt Nell zdążyła zrozumieć, że mieszkańcy pogranicza biorą każdą rzecz tak, jak ta wygląda. Widziała, jak okazują radość, ale nigdy zaskoczenie czy jakiegokolwiek inne szybko przychodzące odczucia, tak powszechne u ludzi z miast. Była to kolejna lekcja, którą Nell zapamiętała. Pojmowała, że rozpoczyna życie całkowicie odmienne od dotychczasowego, a myśl ta sprawiła, że wzdrygnęła się przed czekającą ją próbą. Mimo to była zafascynowana domysłami dotyczącymi jej przyszłego domu, opowieściami o Indianach, renegatach i życiu na kresach. Ludzie zamieszkujący te ziemie byli prości, uczciwi i dzielni; przyjmowali bez sprzeciwu wszystko, co niósł im los, i wierzyli w to, co widzieli. Najwyraźniej żona handlarza futer i jej sąsiadki wbiły już sobie do głów, co łączy dziewczynę z Joem.

Ta ostatnia myśl wzbudziła w Nell jeszcze większy gniew na ukochanego. Stała z twarzą odwróconą od pani Wentz; wyraźnie pogłębiła się jej mała zmarszczka, nerwowo stukająca nogą o podłogę.

– Gdzie jest moja siostra? – zapytała wreszcie.

– Poszła obejrzeć karawanę wozów. Wszyscy tam są.

Nell zastanowiła się przez chwilę, a potem wyszła na dwór. Zobaczyła zatrzymujące się przed chatami wozy kryte płótnem. Były zakurzone, o kołach pokrytych żółtym mułem. Szpakowaty mieszkaniec pogranicza, ten, który wcześniej uśmiechnął się do Nell, stał teraz oparty o strzelbę i rozmawiał z trzema mężczyznami. Ich brudne i wytarte ubrania własnej roboty świadczyły o długiej i mozolnej podróży. Panowało spore zamieszanie związane z przybyciem obcych, szybką wymianą powitań, rozładunkiem wozów oraz wyprzęganiem koni i wołów.

Nell wypatrywała swojej siostry. Wreszcie dostrzegła ją stojącą obok stryja pogrążonego w rozmowie z jednym z woźniców. Nie podeszła do nich; rozglądała się dalej w poszukiwaniu kogoś innego. W końcu zobaczyła Joego wyładowującego rzeczy z wozu; był odwrócony do niej plecami, ale od razu rozpoznała go po szerokich ramionach. W tej chwili nie widziała nikogo innego, wszystko przesłaniało jej święte oburzenie, które uważała za w pełni uzasadnione.

Na odgłos jej kroków młody człowiek odwrócił się, spojrzał na nią z podziwem i powiedział:

– Dobry wieczór, panienko.

Nell nie spodziewała się po Joem równie prozaicznego powitania. Na jego spokojnej twarzy nie było najmniejszego śladu skruchy. Niewzruszenie pracował dalej.

– Czy nie przeprosisz za to... za to, co mi zrobiłeś? – wybuchła Nell.

Jego obojętność była denerwująca. Zamiast kajać się i przeproszać – czego oczekiwała i na co w jej mniemaniu zasługiwała – najwyraźniej zamierzał się z nią drażnić, jak czynił aż nazbyt często. Młody mężczyzna wypuścił z rąk koc i popatrzył zdumiony.

– Nie rozumiem – powiedział z powagą. – Nigdy przedtem panienki nie widziałem.

Tego było już za wiele dla gorącokrwistej Nell. Rozważała możliwość wybaczenia Joemu, jeśli będzie dostatecznie mocno zabiegał o jej łaskę; teraz jednak zapomniała o tych zamiarach i przeświadczona, że mężczyzna kpi sobie z niej, zamiast błagać o przebaczenie, szybko uniosła rękę i wymierzyła mu siarczysty policzek. Czerwona pręga pojawiła się na

twarży młodzieńca. Kiedy zatoczył się w tył, przyciskając dłoń do twarzy, Nell usłyszała za sobą zduszony okrzyk, a po nim radosne oczekiwanie psa. Odwróciła się i zaskoczona ujrzała Joego stojącego przy wozie. Wokół niego skakał duży biały pies. Nagle poczuła, że ciało odmawia jej posłuszeństwa. Oszołomiona przenosiła wzrok od Joego do mężczyzny, którego właśnie spoliczkowała, ale nie potrafiła rozpoznać, który z nich wyznawał jej miłość.



– Jim! A zatem podążyłeś za mną! – zawołał Joe, obejmując brata.
– Tak, Joe, i bardzo się cieszę, że cię odnalazłem – odparł młody człowiek z radością.
– Jak dobrze widzieć cię znowu! I naszego starego psa Mose’a! Skąd jednak, u licha, wiedziałeś, gdzie jestem? Jak trafiłeś na mój ślad? Co zamierzasz robić na pograniczu? Powiedz mi wszystko. Co działo się, gdy wyjechałem...

Nagle Joe zobaczył stojącą obok Nell, bladą i zakłopotaną, wyczuł, że coś się stało. Szybko przeniósł wzrok na brata; dziewczyna wyglądała na osłupiałą, a Jim – na poważnego.

– Co, u diabła...? Nell, to mój brat Jim, o którym ci mówiłem. Jimie, to moja znajoma, panna Wells.

– Rad jestem z poznania panny Wells – odparł Jim z uśmiechem – choć bez powodu uderzyła mnie w twarz.

– Spoliczkowała cię? Za co? – Potem Joe domyślił się prawdy i zaśmiał się tak, że w oczach pojawiły mu się łzy. – Wzięła cię za mnie! Ha, ha, ha! Och, to cudownie!

Lico Nell było teraz mocno różowe, a w jej oczach zalśniła wilgoć; starała się jednak zachować twarz. Gniew ustąpił miejsca poczuciu poniżenia.

– Prze... przepraszam, panie Downs. Wzięłam pana za niego. On... on mnie obraził. Odwróciła się i pobiegła do chaty.



Rozdział II

Joe i Jim byli podobni do siebie jak dwie krople wody. Takiej samej masywnej budowy, dość wysocy, o szarych oczach i wyrazistych rysach.

– Już próbujesz swych starych sztuczek? – zapytał Jim z dłonią na ramieniu Joego, gdy obaj przyglądali się ucieczce Nell.

– Naprawdę ją lubię, Jimie, i nie zamierzam ranić jej uczuć. Opowiedz mi jednak o sobie. Co cię skłoniło do przybycia na Zachód?

– Chcę nawracać Indian. A to, że tu jesteś, dodatkowo sprowokowało mnie do przyjazdu.

– Zamierzasz robić to, co zawsze: składać z siebie ofiarę. Zawsze się poświęcałeś, jeśli nie dla mnie, to dla kogoś innego. Teraz narażasz swoje życie. Próby nawrócenia czerwono-skórych i uczynienia mnie dobrym... w obu przypadkach... zakończą się fiaskiem. Ileż to razy mówiłem, że nie ma we mnie nic dobrego! Pragnę zabijać Indian, Jimie, a nie prawić im kazania. Cieszę się, że cię widzę, ale wolałbym, żebyś nie przyjeżdżał. To dzikie pogranicze nie jest miejscem dla kaznodziei.

– Uważam, że jest – odparł Jim spokojnie.

– A co z Rose, dziewczyną, z którą miałeś się ożenić?

Joe zerknął szybko na brata. Twarz Jima lekko zbladła.

– Powiem o niej raz, a potem nigdy więcej – odparł. – Znałeś Rose lepiej ode mnie. Próbowaleś mi tłumaczyć, że jest próżna i obłudna, a ja cię ofuknąłem; teraz jednak widzę, że dzięki większemu doświadczeniu z kobietami wiesz o nich rzeczy, o jakich ja wtedy nie miałem pojęcia. Była fałszywa. Gdy opuściłeś Williamsburg niby dlatego, że grałeś w karty z Jewettem, a potem się z nim biłeś, nie dałem się zwieść. Wykorzystałeś to jako pretekst; szukałeś wymówki, żeby pomścić wyrządzoną mi krzywdę. Teraz już po wszystkim. Choć okrutnie go pobiełeś i okaleczyłeś na zawsze, będzie żył, a ty uniknąłeś popełnienia morderstwa, dzięki Bogu! Kiedy dowiedziałem się o twoim wyjeździe, chciałem natychmiast ruszyć za tobą. Potem spotkałem kaznodzieję, który mówił, że wybiera się na Zachód z panem Wellsem z misji braci morawskich. Zgłosiłem się zamiast niego, i oto jestem. Poszczerściło mi się znaleźć i pana Wellsa, i ciebie.

– Żałuję, że nie zabiłem Jewetta. W każdym razie pewną pociechą jest to, że zostanie na nim mój ślad. Był podstępny i okrutny, o białych włosach i bladej twarzy, zawsze kręcił się blisko dziewczyn. Nienawidziłem go i dałem mu to odczuć. – Joe mówił z rozmarzeniem, zadowolony z siebie, jakby zabicie człowieka było dlań drobnostką. – Cóż, Jimie, jesteś tu teraz i nic nie można na to poradzić. Pojedziemy z tym morawskim kaznodzieją i jego bratanicami. Jeśli nie żywisz zbyt wielkiej urazy za przeszłość, wszystko może się jeszcze ułożyć. Widzę już, że kresy są miejscem dla mnie. Teraz jednak, po raz pierwszy w życiu, przyjmij moją radę. Jesteśmy na pograniczu. Bycie pastorem nie ochroni cię tutaj, gdzie każdy nosi nóż i tomahawk, a większość mężczyzn to awanturnicy. Porzuć ten łagodny ton i nie zachowuj się aż tak uprzejmie, lecz upodobnij się trochę do mnie. Bądź przyjazny, głoś też w kazaniach, co sobie postanowisz, ale kiedy któryś z tych kresowców w nogawicach²⁰ z jeleniej skóry spróbuje nadmuchać ci w kaszę, co na pewno będą robili, przyjmij to tak, jak nigdy

²⁰ Nogawice – część tradycyjnego stroju Indian Ameryki Północnej, skórzane nogawki przywiązywane rzemykami do pasa.

przedtem. W pierwszych dniach jazdy z tą karawaną wozów dostałem nauczkę. Kosztowała mnie cztery bójki, ale teraz już wszystko w porządku.

– Joe, nie będę uciekał, jeśli to masz na myśli – odparł Jim ze śmiechem. – Tak, rozumiem, że zaczyna się tutaj nowe życie, i jestem z tego rad. Jeśli zdołam znaleźć w nim pracę i zostanę z tobą, będę szczęśliwy.

– Ach! Nasz poczywy Mose! Cieszę się, że cię widzę. – Joe zawołał do wielkiego białego psa, który węszył wokół niego. – Przyprowadziłeś tylko tego starego druha czy może także konie?

– Sprawdź za wozem.

Z psem biegnącym przed nim, Joe poszedł zgodnie ze wskazówką brata i zastał dwa konie przywiązane do wozu. Jeden był kary jak węgiel, drugi siwy, oba czystej krwi. Karosz podrzucił zgrabny łeb i zarżał, jego łagodne ciemne oczy zalśniły, kiedy rozpoznał swojego pana.

– Lance, stary druha, jak mogłem cię zostawić? – szepnął Joe, z radością obejmując ramieniem wygiętą w łuk szyję konia.

Mose stał i patrzył na nich, machając ogonem, zadowolony, że ta trójka starych przyjaciół znów jest razem. Joe miał łzy w oczach, kiedy z ostatnią czułą pieśczętą odwracał się od ukochanego zwierzęcia.

– Chodź, Jimie, zabiorę cię do pana Wellsa.

Ruszyli przez placyk, Mose zaś wrócił pod wóz, ale na jedno słowo Joego skoczył za nimi i biegł zadowolony z tyłu. Gdy byli w połowie drogi do chat, wysoki, kościsty woźnica, śpiwający pijanym głosem, zbliżył się do nich, zataczając się. Najwyraźniej dopiero co opuścił grupkę ludzi skupionych wokół Indian.

– Nie spodziewałem się zastać tu pijaństwa – powiedział cicho Jim.

– Jest go wiele. Wczoraj widziałem tego gościa tak pijanego, że nie mógł chodzić. Wentz powiedział mi, że to zły człowiek.

Woźnica, o czerwonej twarzy zalanej potem i podwiniętych rękawach ukazujących ogorzałe, żylaste ramiona, skrzył ku nim. Gdy się mijali, próbował kopnąć psa, ale Mose zręcznie odskoczył, unikając ciężkiego buta. Nie zawarczał ani nie pokazał zębów, jednakże wysunął do przodu wielki biały łeb, a smukłe ciało przygotował do skoku.

– Nie dotykaj psa, bo odgryzie ci nogę! – zawołał ostro Joe.

– Przebacza, no, chodźta kapkę wypić – odparł woźnica przyjaźnie.

– Nie piję – rzucił Joe i ruszył dalej.

Woźnica warknął coś, z czego bracia wychwycili jedynie słowo „pastorzyna”. Joe zatrzymał się i obejrzał. Jego szare oczy zwięzły się; nie miały gromów, ale spochmurniały i utraciły ciepły blask. Jim dostrzegł tę zmianę i wiedząc, co ona oznacza, chwycił brata za ramię, łagodnie go odciągając. Wciąż słyszeli dobiegający z oddali chrapliwy głos woźnicy, dopóki nie weszli do chaty handlarza futer.

Stary mężczyzna o długich siwych włosach powiewających pod kapeluszem z szerokim rondem siedział przy drzwiach, trzymając na kolanach jedno z dzieci pani Wentz. Twarz miał pooraną głębokimi zmarszczkami i poważną, ale jego łagodne niebieskie oczy lśniły dobrocią.

– Panie Wells, to mój brat James. Jest kaznodzieją i przyjechał w zastępstwie tego, którego oczekiwał pan z Williamsburga.

Pastor wstał i wyciągnął rękę, przypatrując się uważnie Jimowi. Najwyraźniej spodobało mu się to, co zobaczył, bo jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Panie Downs, cieszę się, że

pana poznałem, i rad jestem, że pojedzie pan ze mną. Dziękuję Bogu, że udam się na pustkowiu z kimś na tyle młodym, żeby przejął ode mnie obowiązki, kiedy już upłyną moje dni.

– Pomaganie panu we wszystkim, co tylko leży w mojej mocy, to dla mnie zaszczyt – odparł szczerze Jim.

– Czekaj nas ogrom pracy. Słyszałem wielu szyderców twierdzących, że próba nauczania chrześcijaństwa tych groźnych dzikusów jest gorsza od szaleństwa; wiem jednak, że można tego dokonać, i całym sercem do tego dążę. Nie żywię żadnych obaw. Mimo to nie kryję przed panem, młody człowieku, że istnieje wielkie zagrożenie wynikające z udania się do wrogich Indian.

– Z tego powodu się nie zawaham. Stoję po stronie czerwonoskórych. Miałem sposobność badać ich charakter i uważam tę rasę za szlachetną z natury. Indianie zostali zmuszeni do toczenia wojen i chcę im pomagać w wejściu na ścieżkę pokoju.

Joe zostawił dwóch pastorów rozprawiających z zapałem i udał się do pani Wentz. Żona handlarza futer wprost promieniała z radości. Trzymała w rękach kilka prostych błyskotek i wyjaśniała słuchającej jej młodej kobiecie, że zabawki te są dla dzieci, a dotarły tu aż z Williamsburga.

– Kate, gdzie jest Nell? – zapytał Joe dziewczynę.

– Poszła załatwić coś dla pani Wentz.

Kate Wells stanowiła przeciwieństwo siostry; jej ruchy były powolne, harmonijne i pasujące do dużej, pełnej sylwetki. Brązowe oczy i włosy odróżniały ją całkowicie od Nell. Najbardziej odmienne były twarze dziewcząt, ta Nell iskrzyła się i płonęła ognistym, młodym życiem, u Kate zaś spokojem przypominała wyzbytą jednej zmarszczki powierzchnię głębokiego jeziora.

– Pojedziemy z wami. Jim, mój brat, i ja – powiedział Joe.

– Naprawdę? Cieszę się – odparła dziewczyna, spoglądając na przystojną, szczerą twarz młodego pastora zatopionego w rozmowie z panem Wellsem.

– Jesteście z bratem podobni jak dwie krople wody – szepnęła pani Wentz.

– Wygląda zupełnie jak ty – dodała Kate z łagodnym uśmiechem.

– Co znaczy, że myślisz, albo może masz nadzieję, że jest tak ze wszystkim – odciął się Joe. – No, Kate, podobieństwo się na tym kończy, za co Jim może dziękować Bogu!

Mówił posępnym, zgorzkniałym tonem, który spowodował, że obie kobiety przyjrzały się młodzieńcowi badawczo. Joe zawsze miał dla nich w zanadru mnóstwo niespodzianek; nigdy przedtem nie widziały na jego twarzy oznak smutku. Nastąpiła chwila milczenia. Pani Wentz wpatrywała się z miłością w dzieci bawiące się błyskotkami; Kate zastanawiała się zaś nad uwagą mężczyzny, przypatrując się jego twarzy. Czułość w spojrzeniach, jakie Joe rzucał na brata, nie pasowała zbyt do jego zwykle dzikiego i beztroskiego zachowania. Na Kate sprawiał wrażenie kogoś bardzo śmiałego i chłodnego, ale teraz miała dowód, że Joe kocha swojego brata.

Cichą rozmowę obu pastorów przerwał zduszony krzyk dobiegający spoza chaty. Nastąpił po nim głośny, gardłowy śmiech, a potem rozległ się chrapliwy głos:

– Poczekaj, moja ty piękna dziewczusko.

Joe zrobił dwa długie kroki i znalazł się na progu. Zobaczył Nell szarpiącą się w mocnym uchwycie podpitego woźnicy.

– Panienska musi ino dać mi buziaka na szczęście – powiedział tamten radośnie.

W tej samej chwili Joe zobaczył trzech śmiejących się obiboków, a czwarty, szpakowaty kresowiec, zbliżał się, coś wykrzykując.

– Puść mnie! – zawołała Nell.

Kiedy woźnica przyciągnął ją do siebie i swą czerwoną, spoconą twarz zbliżył do jej twarzy, dwie silne ręce złapały go za szyję w gniewnym uścisku. Pozbawiony oddechu otworzył usta, wysunął język, oczy zdawały się wyskakiwać mu z oczodołów, a ręce młóciły powietrze. Potem został podniesiony i rzucony z hukiem na ścianę chaty. Upadł i leżał bezładnie na trawie, a krew wypływała mu z rany na skroni.



– Co się tu dzieje?! – zawołał władczo jakiś mężczyzna, który stanął obok szpakowatego kresowca.

– Piękna heca jest, Wentz. Sam bym sobie lepiej nie poradził, a żem nadchodził właśnie po to – odparł mieszkaniec pogranicza. – Leffler próbował dać całusa tej dziewczynie. Pije od dwóch dni. Kochaś tej dziewczuszki poradził sobie, możeta mi wierzyć na słowo.

– Leffler głupieje, jak pije – odrzekł handlarz futer, a do Joego dodał: – Pewnikiem będzie cię szukał, kiedy dojdzie do siebie.

– Niech mu pan powie, że jeśli tu będę, gdy wytrzeźwieje, to go zabiję! – zawołał Joe ostrym głosem. Spojrzał ponownie na powalonego woźnicę; w jego wzroku rozbłysła stal. – Nell, żałuję, że nie zjawiłem się wcześniej – powiedział przepraszająco, jakby awantura nastąpiła wskutek jego zaniedbania.

Kiedy weszli do chaty, Nell zerknęła na niego. Już po raz trzeci z jej powodu zrobił komuś krzywdę. Miała kilka okazji widzieć u niego ten zimny jak stal wzrok, który zawsze budził w niej lęk. Zniknął jednak, zanim znaleźli się w środku. Powiedział coś, czego nie usłyszała wyraźnie, ale spokój głosu uśmierzył jej obawy. Była na niego zła, teraz jednak pojęła, że gniew już jej przeszedł. Mówił tak uprzejmie. Czy nie pokazał, że uważa się za jej obrońcę i ukochanego? Ogarnęło ją dziwne uczucie, słodkie i ledwo uchwytnie, jak smak wina. Do lęku dołączyła duma. Każda inna dziewczyna byłaby bardzo rada z takiego opieku-na; ona też będzie, bo taki mężczyzna to prawdziwy skarb.

– Hej, Nell, nic mi nie odpowiedziałaś! – zawołał niespodziewanie Joe, najpewniej pojął, że nie usłyszała ani jednego słowa z tego, co mówił, tak mocno pogrążona była w rozmyślaniach. – Czy nadal jesteś na mnie zła? – ciągnął. – Och, Nell, jestem w tobie... kocham cię!

Niewątpliwie Joe uważał to za wystarczające usprawiedliwienie wszelkich swoich działań. Jego czuły głos rozbroił Nell. Obróciła się do niego z zapłonymi policzkami i radością w oczach.

– Nie gniewam się ani trochę – szepnęła, a potem, wymijając jego wyciągniętą rękę, pobiegła do drugiego pokoju.



Rozdział III

Joe, stojąc w drzwiach chaty, przyglądał się uważnie dwóm postaciom leżącym spokojnie w cieniu klonu. W jednej rozpoznał Indianina, z którym Jim rano spędził godzinę; syn puszczony był pogrążony w drzemce. Pod głowę podłożył wielobarwną koszulę z samodziału, którą dał mu młody kaznodzieja; we śnie jego głowa osunęła się jednak z tej zaimprovizowanej poduszki, a jaskrawy strój leżał obok, przyciągając wzrok.

Drugim śpiącym był niski, krępy mężczyzna, którego Joe widział już przedtem kilka razy. Wydawało się, że brak mu piątej klepki, przez co padał ofiarą żartów osadników, dzieci zaś przezywały go „Loorey”. Podobnie jak Indianin, odsypiał skutki rozpusty poprzedniego wieczora.

Joe przez jakiś czas przypatrywał się leżącym mężczyznom, a po jego minie widać było, że dostrzega w całej tej scenie sposobność do zabawienia się ich kosztem. Rozejrzawszy się szybko, zniknął w chacie, a kiedy pojawił się znowu na progu, w ręku trzymał koszyk. Był zrobiony ze splecionej trawy i zawierał tylko kilka kawałków miękkiego, kredowego kamienia, jakiego Indianie używają przy malowaniu. Joe znalazł sporo takich rzeczy wśród towarów handlarza futer.

Rozglądnął się raz jeszcze i zobaczył, że wszyscy w zasięgu wzroku są zajęci swoją pracą. Szturchnął niższego mężczyznę i zachichotał, gdy jako jedyną odpowiedź uzyskał ospałe chrząknięcie. Wziął jaskrawą koszulę Indianina, po czym uniósł Looreya i owinał go w nią, włożył ręce w rękawy i zapiął z przodu. Okrągłą twarz pomalował czerwoną i białą farbą, a wreszcie z pióropusza Indianina zręcznie wyjął orle pióro i wetknął je w gęstą czuprynę Looreya. Potem podniósł koszyk i zszedł nad rzekę.

Tego ranka parę razy odwiedził nabrzeże, gdzie Jeff Lynn, szpakowaty mieszkaniec pogranicza, zajmował się przygotowywaniem tratw do spłynięcia Ohio. Lynn został najęty przez grupę misjonarzy na przewodnika w drodze do Fort Henry, a ponieważ bracia powiadomili go, że mają zamiar towarzyszyć podróżnym, budował teraz tratwę dla nich i ich koni.

Joe roześmiał się na widok tuzina powiązanych dwustopowych pni, na których jako osłonę wzniesiono prosty szałas. Ta marna ochrona przed słońcem i burzą będzie jedyną, jaką Downsowie otrzymają podczas długiej podróży²¹.

Zauważył jednak, że większą tratwę przygotowano z troską o wygody dziewcząt. Podłogę chatki wykonano tak, że nie docierały do niej fale rozbijające się o belki. Zerknąwszy na tę budowlę, Joe zauważył z zadowoleniem, że Nell i Kate nie będą mogły narzekać nawet podczas burzy. Skóra bizona i dwa czerwone koce nadawały wnętrzu przytulny, ciepły wygląd. Dostrzegł, że część bagaży dziewcząt jest już na pokładzie.

– Kiedy odplywamy? – zapytał.

– O świcie – odparł krótko Lynn.

– To mnie cieszy. Chciałbym być na tratwie wczesnym rankiem.

– Ludziska ze Wschodu zwykle nie palom się do zmierzania się z rzekom – odparł Lynn, bystro patrząc na młodzieńca.

– To piękna rzeka i chciałbym pożegłować nią stąd aż do jej końca, a potem wrócić i zrobić to znowu – odpowiedział mu serdecznie Joe.

²¹ Długa podróż – odległość rzeką Ohio z Pittsburgha do Wheeling wynosi ok. 140 km.

– Tak spieszno do płynięcia? Dam wam obaczyć zwinne czerwone diabły z piórami we włosach, przemykające brzegiem między drzewami, i może posłyszycie świst ołowiu. Jeszcze zechceta tu wrócić jutro przed zachodem słońca.

– Nie ja – zapewnił Joe, śmiejąc się chłodno.

Stary kresowiec powoli dokończył zwijanie liny z mokrej krowiej skóry, a potem wyciągnął brudną fajkę, wziął z ogniska płonący węgielek i umieścił go w cybuchu. Posał ustnik i wkrótce wypuścił wielki kłęb dymu. Siedząc na belce, nieśpiesznie przyglądał się potężnym ramionom i masywnym kończyom młodego mężczyzny, podziwiając ich symetrię i siłę. Zręczność, wytrzymałość i odwaga u mieszkańca pogranicza liczyły się ponad wszystko inne; nowo przybyli na rubieże byli zawsze „mierzeni” pod tym kątem i obdarzani szacunkiem zależnie od tego, w jakim stopniu posiadali rzeczne cechy.

Jeff Lynn, myśliwy, człowiek rzeki i pogranicza, pykał powoli z fajki, tak rozważając w myślach: „Może się żem pomylił, gdym tak skoro polubił tego młodzika. Może to dlatego, że przepadam wprost za jego dziewczuszką o słonecznych włosach, a może dlatego, że robię się stary i młodych lubię bardziej niżli ongiś. W każdym razie gotów żem myśleć, że ten chłopaczek poradziłby sobie z trawom pełnom dzikich kotów”.

Joe chodził po pniach, badając, jak tratwa jest sklecona, i napierając na długie, niezdarne wiosło sterowe. Wreszcie usiadł obok Lynna. Chciał wypytać starego o tratwy, rzekę, puszcę, Indian – o wszystko związane z tym dzikim życiem, lecz zdążył się już przekonać, że naciskanie na ludzi pogranicza to najpewniejszy sposób sznurowania im ust.

– Czy strzelał ongiś z długiej strzelby²²? – zapytał Lynn po chwili milczenia.

– Tak – odpowiedział Joe.

– Czy coś ustrzelił? – Kresowiec zadał pytanie po czterech lub pięciu pyknięciach z fajki.

– Wiewiórki.

– Dobre ćwiczenie: strzelanie do wiewiórek – zauważył Jeff po następnej chwili milczenia, na tyle długiej, że Joe mógłby się odezwać, gdyby miał ochotę. – Czy umie trafić jednom, powiedzmy, ze stu jardów²³?

– Tak, ale nie za każdym razem w głowę – powiedział Joe przeproszającym tonem.

Nastąpiła kolejna przerwa w rozmowie. Jeff rozmyślał. Po ostatniej uwadze Joego schował fajkę do kieszeni i wyjął kopciuch z tytoniem. Oderwał spory kęs zioła i wrzucił sobie do ust. Potem wyciągnął mieszek z jeleniej skóry w stronę młodzieńca.

– Pożuje sobie – powiedział.

Poczęstowanie tytoniem przez kresowca równało się z zapewnieniem o jego przyjaznej postawie.

Jeff splunął z pół tuzina razy, trafiając coraz bliżej kamienia oddalonego o jakieś pięć jardów, w który celował. Mógł to być jego sposób na oliwienie trybów maszyny służącej do rozmawiania, bo w końcu zaczął mówić.

– Wasz brat jedzie nauczać wiary, tak? Nauczanie jest dobre, przyznam, ale wątpię w nauczanie czerwonoskórych. Wszakże żem poznał Indiańców. Są to dobre ludziska, nie ma co gadać. Co zamysła robić? Gospodarzyć?

– Nie, nie byłby ze mnie dobry rolnik.

– Wolałby coś bardziej dzikiego, he? – dopowiedział Jeff.

²² Długa strzelba (z ang. *long rifle*) – broń palna powstała w Pensylwanii na początku XVIII w.; jej długość dochodziła tak, żeby oparta kolbą na ziemi sięgała do podbródka właściciela.

²³ *Jard* – anglosaska jednostka długości równa 3 stopom (0,914 m).

– Chciałem pojechać na Zachód, bo miałem dość układnego życia. Kocham las, pragnę łowić ryby i polować i chciałbym... chciałbym zobaczyć Indian.

– Tak żem myślał – powiedział stary kresowiec, kiwając głową, jakby doskonale pojmował przypadek Joego. – Tam, gdzie idzie, Indianie widzi się nie z wyboru. Trzeba z nimi walczyć. Od lat mamy tu, na pograniczu, złe czasy. Myślę sobie, że na coś się zanosi. Słyszał nazwisko Girty?

– Tak. To nazwisko renegata.

– Zdraycy, a Jim²⁴ i George²⁵ Girty, jego bracia, som jadowite niby grzechotniki²⁶. Zły jest już Simon Girty²⁷, ale najgorszy z nich to Jim, okrutniejszy niżli Delawar²⁸ czystej krwi. Cały czas wypatruje ino, jak chwycić białe kobiety, i zabiera je do swego tipi²⁹. Simon Girty i jego kamraci, McKee³⁰ i Elliott³¹, zdezerterowali³² z tego tutaj fortu niedawno, o mało co by ich ujrzał. Teraz mieszkajom u czerwonoskórych poniżej Fort Henry, wyrządzajom osadnikom tak wielkie szkody, jako tylko mogom.

– Czy Fort Henry mieści się blisko osad Indian? – zapytał Joe.

²⁴ James Girty (1743-1817) – młodszy brat Simona Girty'ego, razem z nim w 1756 r. trafił do niewoli Indian, ale braci rozdzielono i James wychowywał się u Szaunisów, w 1777 za namową Brytyjczyków przekonał Szaunisów, żeby walczyli po stronie brytyjskiej, a nie amerykańskiej, w 1778 sąd w Pensylwanii uznał go za zdrajcę, walczył z osadnikami w Kentucky i Ohio, przebywał w Kanadzie, wrócił do USA w 1795, handlował z Indianami, z indiańską żoną Betsey miał dwoje dzieci (Jamesa i Ann).

²⁵ George Girty (1745-1811) – po pojmaniu go z braćmi w 1756 r. trafił do niewoli Delawarów, pozostał u ich, miał indiańską żonę i dzieci, walczył po stronie Indian przeciwko osadnikom, pod koniec życia mieszkał u brata Jamesa, został alkoholikiem.

²⁶ Grzechotniki – spośród wielu gatunków węży z podrodziny grzechotnikowatych (*Crotalinae*) w dolinie Ohio występuje *Crotalus horridus*, osiągający ok. 1,5 m długości, jadowity, jego ukąszenie może być śmiertelne.

²⁷ Simon Girty (1741-1818) – amerykański osadnik, z całą rodziną w 1756 r. trafił do niewoli Delawarów, został przekazany Senekom (Mingo), był wychowywany przez ich wodza, Guyasutę, i przejął kulturę indiańską, w 1764 uwolniony po wymianie jeńców, a ponieważ znał 11 języków różnych plemion, służył u Brytyjczyków jako tłumacz, podczas wojny o niepodległość początkowo popierał Amerykanów, potem przeszedł na stronę Brytyjczyków i Indian, brał udział w wielu walkach, zyskał sławę zdrajcy i okrutnika.

²⁸ Delawarowie – francuska nazwa plemienia Indian z Ameryki Północnej, z grupy algonkińskiej, ich nazwa własna to Lenape, zamieszkiwali pierwotnie w stanie New Jersey i wschodniej Pensylwanii, nad rzeką Delaware, w 1682 r. sprzedali Pennowi swe ziemie nad Atlantykiem i przenieśli się na zachód, do stanu Ohio, ciągle wypierani przez białych osadników walczyli z nimi, po klęsce w 1811 zamieszkali w stanie Missisipi; obecnie jest ich około 11 tys. w rezerwach w Oklahomie.

²⁹ Tipi – indiański namiot, używany głównie przez plemiona koczownicze przemierzające prerie Ameryki Północnej, o kształcie stożka, ma szkielet z drewnianych słupów, pokryty skórą bizonów, z ogniskiem w środku, zamieszkiwany przez jedną rodzinę.

³⁰ McKee – zapewne Alexander McKee (ok. 1735-1799), brytyjski wojskowy, handlarz futrami, tłumacz w Fort Pitt, pracownik Indian Department; wychowywał się wśród Szaunisów, którzy porwali jego matkę, potem handlował z Indianami, mieszkał w Pensylwanii; podczas rewolucji amerykańskiej stanął po stronie brytyjskiej, dbał o interesy Indian.

³¹ Elliott – zapewne Matthew Elliott (1739-1814), farmer, traper, wojskowy, do Ameryki przybył z Irlandii w 1861 r., osadnik w Pensylwanii, kapitan w Indian Department, żonaty z Indianką z plemienia Szaunisów, stał po stronie Indian, walczył przeciwko Amerykanom, po rewolucji amerykańskiej był farmerem w Kanadzie, handlował z Indianami.

³² Na początku rewolucji amerykańskiej kapitan Alexander McKee, przywódca partii torysów w zachodniej Pensylwanii, układał się z Brytyjczykami; ich korespondencja wyszła na jaw w 1776 r. i władze USA nakazały aresztowanie McKee i uwięzienie go w Fort Pitt; McKee uciekł jednak w 1778 ze swego domu w Pittsburghu, a z nim m.in. Simon Girty i Matthew Elliott; udali się do Delawarów i próbowali ich namówić do porzucenia neutralności, lecz wódz White Eyes odmówił; wyjechali więc do Szaunisów.

- Delawarowie, Szaunisi³³ i Huroni³⁴ żyjom nad całym Ohio poniżej fortu.
- A gdzie znajduje się misja morawska?
- Jak to gdzie, chłopcze? Wioska Pokoju, jak nazywajom to miejsce Indianie, jest w samutkim środku ich kraju. Jakies sto mil³⁵ poniżej Fort Henry.
- Ten fort musi być ważnym miejscem, czy tak?
- No, pewnikiem. To ostatnie nasze miejsce nad rzekom – odparł Lynn ze smutnym uśmiechem. – Jest tam tylko palisada i garstka luda. Indianie napadali na fort ciągiem, ale nigdy go nie spalili. Tylko tacy bohaterowie jak pułkownik Zane, jego brat Jack i Wetzel sprawili, że fort stoi przez całe te krwawe lata. Eb Zane ma ino kilku ludzi, ale wie, jak ich wykorzystać, a z takimi zwiadowcami jak Jack Zane i Wetzel zawsze wie, co się dzieje u Indianców.
- Słyszałem o pułkowniku Ebenezerze Zane. Był oficerem u lorda Dunmore³⁶. Tutejsi myśliwi często mówią o Jacku Zane i Wetzelu. Jacy oni są?
- Jack Zane to myśliwy i przewodnik. Poznał żem go dobrze parę lat nazad. To spokojny, łagodny chłop, ale zapala się jak pochodnia, gdy coś go rozzłości. Wetzel jest zabójcom Indianców. Niektóre ludziska gadajom, że to oszalały łowca skalpów³⁷, ale ja tak nie myślę. Parę razy żem go spotkał. Nie siedzi w osadach, tylko wtedy, kiedy idom tam Indianie, i nikt dużo go nie widuje. W domu ino milczy, a potem może pójść sobie następnego ranka i nie pokaże się przez całe dni czy tygodnie. Pogranicze zna jednak jego czyny. Na przykład żem słyszał o osadnikach wstających rano i znajdujących paru martwych i oskalpowanych Indianców tuż przed swoimi chatami. Nikt nie widział, kto ich ukatrupił, ale wszyscy mówiom „Wetzel”. Zawsze ostrzega on osadników, kiedy majom schronić się w forcie, i za każdym razem ma rację, bo gdy te ludziska wracajom do swych chałup, zastajom ino popioły. Nie byłoby tam ani jednej farmy, gdyby nie Wetzel.
- Jak on wygląda? – zapytał Joe, mocno zaciekawiony.
- Wetzel stoi prosto jak dąb. Przez drzwi musi przechodzić bokiem, przez swe bary, ale nogi ma szczupłe i chyże jak u jelenia. A jego oczy... och, chłopcze, ledwo można w nie patrzeć. Jeśli ktoś choć raz zoczy Wetzela, potem pozna go od razu.
- Chciałbym go zobaczyć – powiedział Joe, a jego oczy zabłyśły zapałem. – Musi być wielkim wojownikiem.

³³ *Szaunisi* – rodzima nazwa Ishanibe, plemię indiańskie w Ameryce Północnej, mieszkające w lasach doliny Ohio i na terenach przyległych, pierwotnie wspomagali Francuzów w walkach z Anglikami, z którymi w 1758 r. zawarli traktat wyznaczający Allegheny jako granicę, wkrótce złamany przez osadników; brali udział w wojnie Dunmore’a, w amerykańskiej wojnie o niepodległość jako sprzymierzeńcy Anglików; pokonani, zostali przesiedleni do Kansas; obecnie jest ich ok. 7,5 tys.

³⁴ *Huroni* – plemię indiańskie w Ameryce Północnej (rodzima nazwa to Wyandoci „Wyspiarze”; Huron – nazwa francuska, od *hure* – łeb dzika), rolnicze, mieszkalo nad Wielkimi Jeziorami, sprzymierzeńcy Francuzów, wypierani przez Irokezów na południe, niedobitki osiadły w stanach Wisconsin i Ohio; obecnie jest ich ok. 20 tys.

³⁵ *Sto mil* – w istocie Gnadenhutten leży ok. 65 km na północny zachód od Wheeling, a zatem ok. 40 mil wyżej w dolinie Ohio, wówczas istotnie na ziemiach Indian.

³⁶ John Murray, *lord Dunmore* (1730-1809) – szkocki arystokrata i urzędnik, w młodości uczestnik powstania jakobitów w 1745 r., więziony, od 1750 w armii brytyjskiej, od 1770 gubernator Prowincji Nowy Jork, od 1771 gubernator Kolonii Wirginia; prowadził wiele wojen przeciwko Indianom po drugiej stronie Appalachów, zwanych wojną Dunmore’a, w 1775 uciekł do Nowego Jorku i Wielkiej Brytanii, w latach 1787-1796 gubernator wysp Bahama; Ebenezer Zane był u niego oficerem płatnikiem.

³⁷ *Skalp* – nadcięta i zerwana z głowy skóra z włosami, trofeum zdobywane przez niektóre plemiona Indian Ameryki Północnej, głównie Irokezów i Krików.

– Czy jest? Lewis Wetzel jest najlepszy z nich wszystkich, a mamy tu kilku umiejących walczyć. Parę lat nazad dołączył żem do grupy, co wyruszyła polować na czerwonoskórych. Wetzel był z nami. Szybko żeśmy wpadli na ślad Indianców, a potem znaleźliśmy mnóstwo tych paskudnych obwiesi. Wszyscy żeśmy byli za powrotem do domu, bo było nas mało. Gdy żeśmy ruszyli w drogę, zobaczyliśmy Wetzela siedzącego spokojnie na pnium. Rzekł: „Czy idzieta do domu?”, i sam sobie odpowiedział: „Poszedł żem szukać Indianców, a teraz, gdy żeśmy ich naszli, nie byndę uciekał”. I zostawili my go tam tak siedzącego. Och, Wetzel to prawdziwy wojownik!

– Chciałbym go zobaczyć – powtórzył Joe, a ciepły blask, nadający mu tak chłopcę wygląd, nadal rozjaśniał jego twarz.

– Może mu się uda, a pewnością zobaczy czerwonoskórych, i to nie tych potulnych.

W tej chwili rozmowę przerwały dochodzące z pobliza chat wzburzone głosy. Joe zobaczył kilka osób biegnących ku wielkiej chałupie i znikających za nią. Uśmiechnął się na myśl, że rwetes wywołało może przebudzenie się indiańskiego wojownika.

Wstał i poszedł w stronę chaty, wkrótce też dostrzegł przyczynę zamieszania. Tłumek mężczyzn i kobiet, bez wyjątku śmiejących się, otaczał indiańskiego wojownika i niskiego, krępego białego człowieka. Joe usłyszał jęk, a potem głęboki, gardłowy głos:

– Błada twarz wielki rabuś! *Howgh!* Silvertip³⁸ zły, on zabić błada twarz.

Po przecięnięciu się przez grupę Joe zobaczył Indianina jedną ręką trzymającego Looreya, a drugą szturchającego go w żebra. Twarz złapanego stanowiła istny obraz zgrozy; nawet pasma farby nie przesłaniały widniejącego na niej strachu i oszołomienia. Biedny półgłówek był tak mocno przerażony, że mógł jedynie jęczeć.

– Silvertip skalpować błada twarz. *Howgh!* – ryczał dziki, dając Looreyowi następną sobję w bok. Ten tym razem zgiał się z bólu.

Gapie podzielili się w uczuciach; mężczyźni się śmiali, kobiety zaś szeptały ze współczuciem.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – mruknął Joe, gdy przepchnął się niemal do połowy ciżby. Potem wyciągnął rękę, która naga i ogorzała wyglądała jak ręka kowala, i złapał Indianina za nadgarstek z taką siłą, że tamten natychmiast puścił Looreya. – Ja skradłem tę koszulę... zabawa... żart – powiedział. – Oskalpuj mnie, jeśli już chcesz kogoś oskalpować.

Indianin spojrzął szybko na stojącą przed nim mocarną postać. Wykręcił rękę z uścisku Joego.

– Wielka błada twarz góra żart... wszystkie *squaw*³⁹ bawić – powiedział z pogardą. Z groźbą w mrocznych oczach odwrócił się gwałtownie i opuścił grupę.

– Obawiam się, że zrobiłeś sobie z niego wroga – rzekł Joemu Jake Wentz. – Indianin nigdy nie zapomina zniewagi, a ten uznał za nią twój żart. Silvertip jest przyjazny, bo sprzedaje nam skórki. Jest wodzem Szaunisów. Idzie o tam, pośród wierzb!

W tym czasie do grupy dołączyli Jim, pan Wells, pani Wentz i dziewczęta. Wszyscy przyglądali się, jak Silvertip wsiada do swojego canoe i odpływa.

– Zły znak – powiedział Wentz, a potem, obróciwszy się do Jeffa Lynna, który właśnie stanął przy nich, krótko wyjaśnił sytuację.

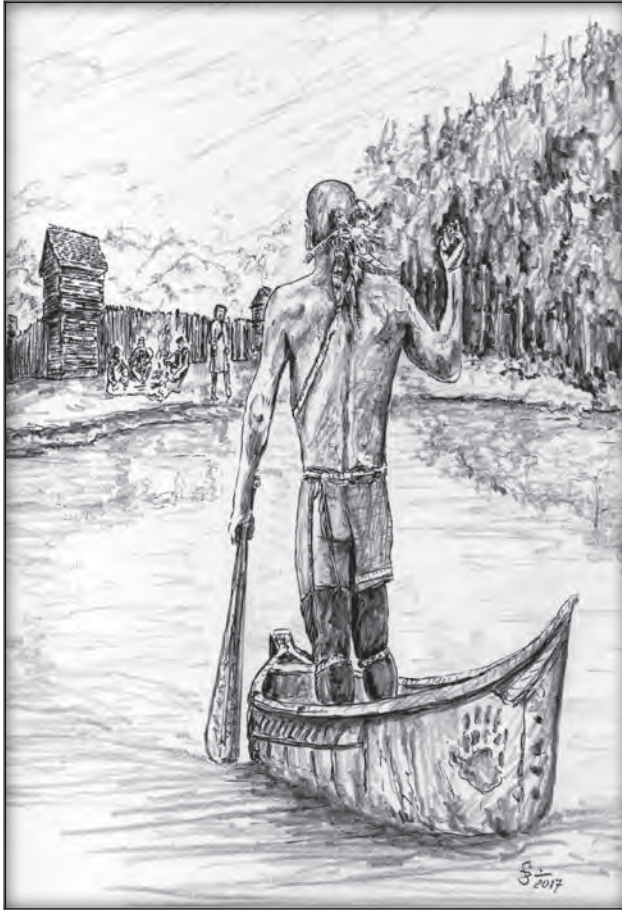
– Nigdy żem nie lubił Silvertipa. To zmyślny Indianiec i nie można mu ufać – rzekł Lynn.

³⁸ *Silvertip* (ang.) – Srebrny Czubek.

³⁹ *Squaw* (ang.) – Indianka, z języka Algonkinów, gdzie słowo to oznacza „kobietę”.

- Odwrócił się i patrzy w naszą stronę – powiedziała szybko Nell.
- Tak właśnie zrobił – potwierdził handlarz futer.

Indianin był teraz kilkaset stóp w dół bystrej rzeki i na chwilę przestał wiosłować. Słońce lśniło jasno na jego orlich piórach. Przez moment tkwił nieruchomo, a jego ciemna twarz była widoczna nawet z tej odległości. Podniósł rękę i zaczął nią groźnie wymachiwać.



– Jeśli więcej nie usłyszysz tego Indianca, to Jeff Lynn niczego nie wie – rzekł spokojnie stary mieszkaniec pogranicza.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!